

Selma Skenderović

In če vsi pozabijo [A jeśli wszyscy zapomną]
(fragmenty)

przekład: Miłosz Biedrzycki

Kosowska Mitrowica, 2018. Na północy Serbowie. Na południu Albańczycy. Pomiędzy nimi – most na rzece Ibar. Boszniacka mahala w obydwu częściach miasta: przestrzeń codziennych spotkań i handlu. W mahali sprzedaje się i kupuje wszystko, od ubrań i butów po sprzęty gospodarstwa domowego, papierosy, nawet benzynę. Są tam też: Zara, Bershka, Stradivarius i tym podobne. Ceny: zmienne. Chodzi o podróbki różnych markowych ubrań. Mniejsza o to.

[...]

Z dworca autobusowego pojechaliśmy taksówką. Wysiedliśmy na początku naszej ulicy, jak wciąż nazywa ją mama. Obcy wybudowali tu sobie w ostatnich latach ogromne domy. Zgadza się, tak nas tu teraz nazywają. Ładne domy, z kolorowymi elewacjami i systemami alarmowymi. Gdzie indziej zarabiają wystarczająco dużo, żeby tutaj pozwolić sobie na cokolwiek sobie zamarzą. Gdzie indziej wegetują i oszczędzają. Między innymi. Partia boszniacka przed każdymi wyborami obiecuje, że w zamian za ich głosy ulica zostanie wyasfaltowana.

My ze Słowenii mamy opinię niezbyt zamożnych obcych. Moi rodzice z pomocą dwóch kredytów z trudem kupili sobie mieszkanie. Tutaj zachowują się tak, jakby przeprowadzka była bez sensu. Nie twierdzą, że nie mają racji. Jeszcze nie zasłużyliśmy w pełni na to, żeby Słowenia stała się naszym domem. O to człowiek musi się postarać. Dojść do czegoś. Zmienić się. Wyrzec siebie.

Gdzieś w drugiej połowie ulicy, kiedy szliśmy wzdłuż albańskiej strony, już nam machały i witały się z nami nasze byłe, jego sąsiadki. Mama z niektórymi wymieniała kilka niefrasobliwych zdań, że jesteśmy zmęczone drogą, że zostaniemy tu na dłużej, że wpadniemy któregoś dnia na kawę. Nic sobie oczywiście przy tym nie robiąc z moich wcześniejszych deklaracji, że nie zamierzam nikogo odwiedzać.

Przed domem powitało nas spłowiełe, zielone ogrodzenie. Przed garażem on wysypał cement i nieobrobione kamienie. Jakoś się przecisnęliśmy do česmy*, bo chciał nam pokazać wronę, którą wyrzeźbił z jakiegoś ciemnego drewna. Przedstawił ją nam jako Skanderbega. Nawet stół ogrodowy, który wyciosał jakieś piętnaście lat temu, wyglądał lepiej od niej. Miał też nowego psa, którego zdążył prawie na śmierć zagłodzić, bo karmił go tym, czym sam się żywił.

* studni w ogrodzie (jeśli nie podano inaczej, objaśniane słowa i zwroty pochodzą z języka, w którym mówią boszniaccy mieszkańcy regionu Sandžak, skąd pochodzi autorka; jest to swoista mieszanka języków: serbskiego, bośniackiego i czarnogórskiego – *przyp. tłum.*)

Ugościł nas kawą, którą zaparzyła mama.

Siedziałyśmy każda na swoim końcu kanapy, on leżał pomiędzy nami i oglądał telewizję. Nie wiem, o czym rozmawiali. Ona. Vidiš li ovo, tata? To je danas moderno. I on. A, đavo ih odnio*. Tak jak się spodziewałam, nie mogli po prostu posiedzieć w milczeniu. Zresztą głównie z tego powodu przyjechałam z mamą. Jej się wydaje, że tutaj bez przerwy musi się wykazywać. Jako dobra synowa, która dba o to, żeby dom był wysprzątany, obiad ugotowany, teść zabawiony. Jako dobra córka i siostra. Dlatego, dopóki tu jest, zapomina o pretensjach do swojej rodziny. Jako dobra była sąsiadka, która w swoich byłych sąsiadkach wzbudza kojące poczucie, że wciąż jest w stanie wejść w ich skórę gospodyń domowych, uzależnionych ekonomicznie od swoich mężów, mimo że mieszka i pracuje w Słowenii, prowadzi samochód i może swobodnie umawiać się na kawę z kobietami i z mężczyznami. Rzecz jasna, w określonych granicach. I tak oto wszystkie zajęcia i rozmowy spadają na nią. Nie, żebym nie chciała jej pomóc. Po prostu nie ma takiej potrzeby, bo wszystko mi jedno, co o mnie myślą ludzie, którzy mnie znali, zanim skończyłam siedem lat.

Wizyty u Słoweńców w żadnej mierze nie mogą się równać z naszymi posiedkami albo posjedkami, w zależności od tego, w którym dialekcie toczy się rozmowa.

[...]

Do Rasemy i Salka dotarłam za pięć szóstą. Byłam zła, bo po drodze wdepnęłam w błoto i pobrudziłam nowe vansy. Szybko uściśnęłam dłonie wszystkim obecnym. Mama stała w kółeczku sąsiadek, coś sobie opowiadały o cioci Fatimie. On stanął razem z innymi mężczyznami, wyjaśniali hodży, że gdzie okiem sięgnąć, to wszystko ziemia Salka. Usiedliśmy też osobno. Rasema i Salko ustawili stoły i krzesła w prostej linii przed swoim domem. Miejsca po prawej stronie, jeśli patrzeć z progu domu, były przeznaczone dla mężczyzn, po lewej – dla kobiet.

Rasema podała kawę najpierw mężczyznom, potem kobietom. Wciąż rozmawiano. Kiedy wszyscy wypili kawę, hodża wstał i otworzył Koran. Kobiety, w tym ja, nałożyły chusty na głowy. Wszyscy patrzyli na mnie. Hodża zaczął czytać z Koranu. Wszyscy patrzyli na mnie. Miałam wrażenie, że obrzęd trwa już całą wieczność. Czułam się niewygodnie. Hodża zamknął Koran i powiedział: „El-Fatiha”. Unieśliśmy dłonie i wypowiedzieliśmy El-Fatihę w myślach. Wszyscy patrzyli na mnie. Przesunęliśmy dłońmi po twarzach. Wszyscy patrzyli na mnie. Salko wsunął hodży kopertę do kieszeni. Hodża poszedł. Każdy z gości dostał talerz z jedzeniem. Wszyscy patrzyli na mnie. Skończyłam jeść wcześniej niż inni. Potem ukradkiem przyglądałam się męskiej i kobiecej stronie zgromadzenia. Nie mogłam pozbyć się poczucia, że mnie osądzają. Nawet gdybym chciała, nie miałam dokąd wrócić. Nie potrafiłabym już tutaj żyć. Nie z tymi ludźmi.

Poszłam do toalety i już zostałam wewnątrz domu Rasemy i Salka, dopóki mama i on nie uznali, że czas wracać. Najpierw musiałam rozmawiać z dziećmi Rasemy i Salka. Cała trójka dobrze знаła ciocię Fatimę, odwiedzali ją codziennie. Nikogo nie obchodziło, jak się czuli, kiedy umarła. Powiedziano im tylko, że niedługo zaczniesz się dženaza** i że mają być cicho.

* Widzisz to, tato? Tak teraz jest w modzie. [...] A niech ich diabli wezmą.

** pogrzeb (z arab.)

Potem coraz bardziej miałam poczucie, że nawet nie próbuję ich słuchać. Kiwałam tylko głową i patrzyłam na Etkę, siedzącą na podłodze przed telewizorem. W pewnym momencie odwróciła się do mnie i spytała: a Edina? No właśnie, co z Ediną?

[...]

Budziła nas krzykiem, że nic nie jest posprzątane, że nie możemy tylko leżeć i jeść. Samo se vi zatvorite u svoj čumez. Noge u vis i sve ču ja. Čistim. Kuham. Perem. One će završit škole. Ići će na fakultet u Ljubljani. Ko sam ja? Samo čistilka. Neće čak ni da pričaju sa mnom*. I zawsze ten sam rytuał. Wchodzę do dużego pokoju i muszę ich spytać: Jeste li se naspavali? W najlepszym razie dostaję odpowiedź: Dosta, ti?**. Zwykle nie dostaję żadnej odpowiedzi. Oni nigdy mnie nie pytali, czy się wyspałam.

Wcześniej, niedługo po przeprowadzce do Słowenii, wszystkie trzy musiałyśmy wstawać, kiedykolwiek on wszedł do jednego z trzech pokoi. Zwłaszcza kiedy wracał z pracy. Jedna z nas otwierała mu drzwi, pozostałe dwie czekały na stojąco, aż wejdzie. Jesi li se umorio?*** Zawsze to samo pytanie. Potem kładł się przed telewizorem. On z jednej, ona z drugiej strony wersalki. Dla mnie i Azry – miejsca na podłodze, metr przed telewizorem. Zawsze źle się z tym czułam. Mnie nikt nie pytał, czy jestem zmęczona. Szczególnie później, kiedy dojrzywałam. Nie miałam ochoty na nich patrzeć. Brzydziłam się wszystkim, co robili. Nie znosiłam ich mowy ciała, ich gestów. Tego, jak podczas posiłków słychać było tylko zgrzytanie jej szczęk. Jego chrapania, kiedy próbowałam odrabiać prace domowe. Jej telefonów na głośnomówiącym, kiedy jeszcze spałam. Jego sałatki z za dużą ilością octu. Ocet. Wszędzie za mną chodził zapach octu. Jej kremów na obrzęk nóg. Zmiękczacza do tkanin, którego używała. Trzasku pasa, kiedy uderzał w moją dłoń.

Najlepiej, żebym przestała o nich myśleć. O tym, co mi zrobili. O sobie. Nie powinnam rozpatrywać siebie w powiązaniu z nimi. Ja nie mam rodziny. Więc dlaczego kupuję im prezenty na urodziny, bajram, dzień kobiet? Są wprawnymi manipulantami. Szczególnie ona.

[...]

Tutaj czasem bawiłyśmy się z Azrą. Ponieważ Etkę nie miała zabawek, ciocia Fatima dawała nam swoje szmatki i uczyła nas, jak się mijesi chleb i pravi burek. Szmatki były ciastem, które zwijałyśmy w kolisty kształt, wkładałyśmy do piekarnika i przynosiły później cioci, wujkowi, Etce i wszystkim innym, którzy znajdowali się w pokoju. Ciocia czasem mówiła, że za mało słone, niedopieczone albo coś w tym rodzaju. Potem przez jakiś czas gniewałyśmy się na nią, a w końcu wracałyśmy do kuchni i znowu piekłyśmy burek. Kiedy mama wstawiała i mówiła, że czas wracać do domu, składałyśmy szmatki i oddawałyśmy je cioci Fatimie.

* Zamknijcie się w swoim bajzlu i tyle. Nogi do góry, a ja mam wszystko zrobić. Sprzątam. Gotuję. Piorę. One skończą szkoły. Pójdą na studia w Lublanie. A ja, kim jestem? Tylko sprzątaczką. Nawet nie chcą ze mną rozmawiać.

** Wypaliście się? [...] Może być, a ty?

*** Zmęczyłeś się?

Któregoś razu ciocia Fatima mnie nabrała. Postawiła na stole kukuruzę*, którą tego dnia ugotowała na kolację. Byliśmy wtedy u niej razem z babcią, mama powiedziała, że nie lubię kukuruzy, że tylko Azra ją jada. Kakva kukuruza? Ciocia Fatima udawała, że nie wie, o co mamie chodzi. To su gurabije. Vidi, kako su dobre. Wzięła kawałek i go zjadła. Uzmi, Zineta. Probaj. A ja, myśląc, że to gurabije, wzięłam i zjadłam największy kawałek. Smakował trochę inaczej, tyle wyczułam, ale wciąż myślałam, że to gurabije. Potem przez jakiś czas śmiały się ze mnie. Ne voliš kukuruzu, je li?** – droczyła się ze mną ciocia Fatima.

Byliśmy tu też na przyjęciu, kiedy ożenił się jej najmłodszy syn, który teraz mieszka we Francji. Ja byłam djeveruša***. Wtedy nie miałam pojęcia, co to znaczy. Przez cały czas trzymałam się blisko panny młodej, nie odstępowałam jej nawet na chwilę. Rano poszliśmy po nią do domu jej mamy, nie pamiętam tego dokładnie, myślę, że już miała na sobie suknię ślubną. Taką czerwoną ze złotą lamówką, ogromną. Poznali się we Francji, a pobierają się tutaj, bo tam nikogo nie mają, tłumaczyłam sobie. Potem siedzieliśmy w jakiejś restauracji, chyba na kogoś czekaliśmy. Panna młoda wyglądała na niezadowoloną, nie bez powodu. Na jej ślubie ktoś inny był w centrum uwagi. Nie pamiętam, co się działo, zanim przyjechalśmy do cioci Fatimy. Jechałam tym samym samochodem, co panna młoda, to było dla mnie najważniejsze. Też miałam ładną sukienkę, trzymałam bukiet panny młodej. Potem siedzieliśmy w tym samym pokoju, który teraz opróżniam. Jedliśmy. Było dużo gości, nie wiem, jakim sposobem wszyscy się zmieścili. Któryś z nich rozrzucał drobniaki, razem z innymi dziećmi podnosiłam je z podłogi i chowałam do kieszeni. Zebrałam ze dwadzieścia euro. Pamiętam jeszcze cukier w kostkach, zawijaliśmy go w serwetki i zabierali ze sobą do domu, ale nie wiem, po co. Nie pamiętam syna cioci Fatimy ani jego żony. Gdybym teraz ich zobaczyła, na pewno bym ich nie poznała. Ani oni mnie.

[...]

Jechaliśmy trochę ponad pół godziny. U Nafii byliśmy około ósmej. Zadzwoniliśmy do drzwi i zdjęliśmy buty przed progiem. Otworzył nam najstarszy syn Nafii i zaprosił do środka. Zastaliśmy ich podczas oglądania serbskich wiadomości. Po uściskach dłoni i pocałunkach na powitanie mąż Nafii wskazał nam, gdzie mamy usiąść. Umościłam się wygodnie w prawym kącie narożnika. Mama usiadła koło mnie – zanim to zrobiła, wcisnęła Nafii do rąk reklamówkę z sokiem, ciasteczkami i kawą – a on koło mamy. Mąż Nafii i jej trzech synowie usiedli w lewym kącie narożnika, po przekątnej ode mnie. Po kilku minutach Senada, córka Nafii, przyniosła sok dla mnie i dla mamy, a dla niego – herbatę bez cukru.

Później posadek przebiegał zgodnie z ustalonym wzorcem: kawa, rozmowa o wszystkich naszych ludziach w Słowenii, o pracy mamy, o moim zamążpójściu i tak dalej. Kako ti je druga ćerka? spytała mamę Nafija. Czy jest podobna do mnie, chciała wiedzieć, kiedy mama powiedziała, że u Azry wszystko dobrze, że ma dużo nauki i dlatego nie przyszła z nami. Bolje što nije, pokiwała głową Nafija, kiedy mama odpowiedziała, że w gruncie rzeczy ja i

* chleb kukurydziany

** Jaka kukuruza? [...] To są *gurabije* (słodkie ciasto, który wyglądem i kolorem przypomina kukuruzę). Zobacz, jakie dobre. [...] Weź, Zineto. Spróbuj. [...] Nie lubisz kukuruzy, tak?

*** druhną

Azra w ogóle nie jesteśmy do siebie podobne. Ova ti je muškobanjasta, zlustrowała mnie ponownie, tak jakby tego nie zrobiła zaraz, kiedy weszliśmy. Žensko treba da ima široke kukove, dodała i jeszcze uważniej wpatrzyła się w moje biodra. Kako ćeš da rodiš dijete tako sitna?* – pytała mnie poważnym tonem, jakbym trzymała w kieszeni antidotum na swoją zbyt wąską, najwyraźniej męską miednicę.

[...]

Jeżeli jednak kobieta za długo się zastanawia, staje się wybredna; jeże nie wyjdzie za mąż, zanim ukończy dwadzieścia dwa lata, może jej być trudno znaleźć później partnera, przestrzegają. Został mi więc jeszcze tylko rok czasu.

W dzisiejszych czasach to i tak dobrze, jeśli wyjdzie za mężczyznę, dorzucił Husmir, który widocznie przysłuchiwał się wszystkiemu, o czym rozmawialiśmy. Sad moramo da pazimo da nam se sinovi ne udaju **. W Belgii to jest na porządku dziennym, wszyscy żeniają się ze wszystkimi, wyjaśniał i opowiadał, jak w urzędzie widział dwóch mężczyzn, którzy brali ślub ze sobą. Oburzał się przy tym, ku uciesze obu części zgromadzenia, że Belgowie tamtych jeszcze klaskali.

[...]

A jutro już od rana akademik zacznie się zapelniać, kiedy pilni studenci i studentki wrócą do Lublany, żeby w spokoju przygotować się do kolejnego tygodnia wyczerpujących zajęć na uczelni. Tak pewnie kłamią rodzicom, kiedy ci ich pytają, dlaczego chcą wracać już w niedzielę. Bo nie chcą się przyznać, że w naszym akademiku w każdy niedzielny wieczór jest impreza. Zbierają się w kuchni, zaraz koło naszego pokoju, przywożą po kilka litrów białego i czerwonego wina wyrabianego przez swoich dziadków – akademik jest też dobrym miejscem do handlu, ile litrów przywożą, tyle są w stanie sprzedać – kilka skrzynek piwa, trochę jointów, obowiązkowo też gitarę, a jeszcze lepiej: akordeon. Następnie zaczynają jodłować; przez całą noc ryczą na zmianę słoweńskie piosenki pseudoludowe i bałkański turbofolk. Sama już nie wiem, co jest bardziej nieznośne – kiedy śpiewają chórem o dziewczynie imieniem Micka, co ma w domu traktor, czy kiedy tłuką kieliszki, bo do łez wzruszyła ich Ceca *** utworem *Autogram*. Gdyby chociaż właściwie wymawiali nasze słowa, prawdopodobnie mniej by mi to przeszkadzało. Zawsze, kiedy ich słucham, myślę sobie, że nawet nie wiedzą, co znaczy bekrija, inat, jastuk **** czy cokolwiek innego, o czym śpiewają. Kiedy są pijani, wszyscy płynnie mówią we wszystkich językach dawnego wspólnego państwa; na trzeźwo natomiast oburzają się na ekspedientki, kiedy te zamiast reklamówki proponują im vrećicę, na kierowców, kiedy witają ich: dobar dan, na mnie, kiedy mówię:

* Co u twojej drugiej córki? [...] To i lepiej [...]. Ta to jest bardziej babochłopem [...]. Kobieta powinna mieć szerokie biodra [...]. Jak masz zamiar urodzić dziecko taka drobna? [...].

** Teraz musimy uważać, żeby nasi synowie nie powychodzili za mąż.

*** Ceca (właśc. Svetlana Ceca Ražnatović) – piosenkarka, jedna z największych gwiazd serbskiej muzyki turbofolk – *przyp. tłum.*

**** pijanica, upór, poduszka (bośniackie słowa pochodzenia osmańskotureckiego – *przyp. tłum.*)

różyczaste rajstopy. Może i nie jesteśmy tak jaśniepańscy i wyrafinowani jak Słoweńcy, za to potrafimy robić dobrą muzykę i dobre ćevapy.

[...]

Czasem nie potrafię wymówić w naturalny sposób niektórych słoweńskich słów, szczególnie takich, których rzadko używam. Albo nie używam wcale. Niedawno mnie roześmieszło, kiedy koleżanka do swojego chłopaka powiedziała: luby. „Štrukelj”, „Ljubljana”, „pocrkljati se”, „čevelj”, „veselje”; te sprawiają mi najwięcej trudności. Zawsze wykladam się na zbitce „lj”. Ja wymawiam miękkie „l”, a Słoweńcy – osobno „l” i „j”. Tak naprawdę przeszkadza mi to, że nie mam swojego języka. Zazdroszczę Słowencom, że oni mają. Uczą się go od przedszkola. Ja swojego ojczystego języka nigdy się nie uczyłam w szkole. I tak oto kręcę się w kółko.

Ten tydzień też minie, a potem moje emocje się wyciszą. Nie będę codziennie porównywała swojego życia w Słowenii z życiem tych ludzi tutaj. Ze swoim życiem tutaj.

[...]

Postanowiłam, że przynajmniej dzisiaj, w ostatni wieczór, nie będę się dąsać. Usiadłam na kanapie koło Admiry, daleko od drzwi dużego pokoju, i od razu miałam wrażenie, że uczestniczę w rozmowie bardziej niż przy wcześniejszych okazjach. Wujek i on rozmawiali o bezpańskich psach, które o tej porze roku włóczą się po wsiach i wyrządzają szkody. Z tego powodu musimy zamykać kury w kurniku już przed piątą po południu, mówił wujek. A on zaczął opowieść o kotce, która przez kilka dni kręciła się wokół jego domu. Powiedział, że bezpańskie psy zżarły jej młode. A kotce tylko pogryzły szyję, którą on następnie okleił taśmą, żeby kotka się po niej nie drapała. Potem zaczął opowiadać, że każdego ranka musi zbierać śmieci w sadzie, bo nocami psy wszędzie je roznoszą. Niedawno skądś przywlokły obgryzione rybie głowy. Rozrzuciły je koło česmy, pokazywał ręką w stronę česmy. On by im już pokazał kijem, czego nie wolno robić! – chwalił się wujkowi. Wujek się śmiał. O mało nie odparłam, że w Słowenii bardzo rzadko można spotkać bezpańskiego psa. Że słoweńskie psy zazwyczaj są wytresowane i mieszkają ze Słowencami w domach bądź mieszkaniach. Słoweńcy je kąpią, wożą do psich salonów na strzyżenie czy na pielęgnację łap, pazurów i poduszek. Kupują im Pedigree Dentastix do codziennej pielęgnacji uzębienia. Wyprowadzają na spacer kilka razy dziennie, rozmawiają z nimi, pieszczą je. Zabierają je nawet na wystawy, koncerty, wieczory literackie. Te psy mają lepsze rozeznanie w kulturze niż większość ludzi tutaj, chciałam zakończyć swoją tyradę. A potem przyszło mi do głowy coś, co wszyscy uznaliby za jeszcze bardziej obraźliwe: że te psy mają lepsze paszporty niż większość ludzi tutaj. Ale jeszcze przed przyjściem gości postanowiłam, że przynajmniej przez ten jeden wieczór nie będę się wymądrzać na głos.

I tak oto nie mogli mnie uznać za szejtana, któremu wydaje się normalne spanie w łóżku, w którym kilka chwil wcześniej tarzał się pies. I nie musiałam słuchać kazań o tym, że Koran zabrania muzułmanom trzymania psów w charakterze domowych ulubieńców. Wysłannik Allacha, niech będzie z nim pokój, orzekł, że do domu, w którym jest pies, nie wejdą anioły. Ludzie trzymający psy nie do pilnowania trzód i plonów czy do polowania, ale w innych

celach, popełniają grzech. Jeśli pies polizę nam ubranie, musimy się przebrać. Jeżeli na nasze ciało kapnie psia ślina, musimy tę część ciała sześć razy oczyścić wodą i jeszcze jeden raz piaskiem. Wszystko to wiem i bez ich objaśnień, bo w odróżnieniu od nich przeczytałam Koran uważnie i wiele razy.

Przypomniała mi się nasza sąsiadka, Słowenka, która lata temu w wielkim zadziwieniu przyszła do nas na kawę, żeby mama jej wytłumaczyła, dlaczego jedna z naszych sąsiadek Bośniaczek – ta, która chodzi w chuście – odsuwa się, ilekroć widzi ją z psem na rękach.

[...]

Dziadek nigdy nie życzył sobie umrzeć. Miał pecha i zachorował. Wszyscy uważali babcię za niesamowicie silną kobietę, która po wszystkich złych rzeczach, jakie ją spotkały w życiu, nigdy się nie załamała. Gdyby kiedykolwiek naprawdę jej posłuchali, usłyszeliby, jak mówi, że jest zmęczona, że już za długo żyje, że nie pamięta, kiedy są jej urodziny. Babcia życzyła sobie umrzeć. I nikt, kto ją znał, nie może mieć jej tego za złe.